

O biednych nikt nie chce słuchać - rozmowa z prof. Elżbietą Tarkowską



Rozmawiał Adam Leszczyński 2005-12-30, ostatnia aktualizacja 2005-12-30 00:00

Cały czas pokutuje stereotyp biednego emeryta. Jednak bieda w Polsce nie wiąże się ze starością i chorobą, ale z bezrobociem i wielodzietnością. Najbiedniejsze są rodziny, w których głowa ma 35-40 lat - mówi socjolog Elżbieta Tarkowska*

Adam Leszczyński: Mamy w Polsce mity o biedzie?

Elżbieta Tarkowska: Bezrobotny to leń i pijak! Bardzo często ludzie myślą, że praca jest, każdy może pracować, tylko mu się nie chce i dlatego jest biedny.

A to nieprawda?

- Nieprawda.

Sami biedni też tak o sobie myślą?

- Nie, absolutnie, chociaż mówi im się to na każdym kroku. Bieda w Polsce jest związana z bezrobociem i wielodzietnością. Kiedy takie rodziny zwracają się o pomoc, nieraz słyszą: "Trzeba było nie mieć tylu dzieci". Bieda w Polsce - jak wszędzie - jest naznaczona moralnie. To stygmat, który ciągnie się za ludźmi.

Ilu jest w Polsce biednych?

- Mamy różne miary ubóstwa. Minimum egzystencji to granica zaspokojenia najbardziej podstawowych potrzeb człowieka, takich jak jedzenie, ubranie czy dach nad głową. To niewiele ponad 1000 zł miesięcznie na rodzinę z dwojgiem dzieci. 12 proc. Polaków, czyli ponad 4 mln, żyje poniżej tej granicy. Ponad połowa żyje poniżej minimum socjalnego - dziś wynosi to nieco ponad 800 zł miesięcznie dla dorosłej, samotnej osoby. To jednak raczej miara zbliżania się do ubóstwa niż samego ubóstwa, bo minimum socjalne zakłada zaspokojenie potrzeb także społecznych - np. kulturalnych.

Jest też miara ubóstwa relatywnego - dochód w rodzinie jest o połowę niższy od średniej dla wszystkich gospodarstw. Tak małe dochody ma co piąty Polak. Są też wskaźniki ustawowe - 19 proc. Polaków ma prawo do ubiegania się o pomoc społeczną, żyje więc z punktu widzenia prawa w ubóstwie.

Gospodarka rośnie o 4-5 proc. rocznie. Skoro jesteśmy coraz bogatsi, biednych powinno ubywać?

- Po 1989 r. wskaźniki ubóstwa stopniowo rosną. Spadły na krótko w połowie lat dziewięćdziesiątych. Nawet w ostatnich latach biednych przybyło, chociaż bezrobocie zaczęło się zmniejszać. Co prawda najświeższe dane z badania "Diagnoza społeczna 2005" pokazują, że stopa ubóstwa w ostatnich latach w Polsce zmniejszyła się. Jej autorzy posługiwali się jednak jeszcze innymi wskaźnikami i badali raczej niedostatek niż ubóstwo. Używali tych terminów zamiennie, a to nie jest to samo.

Każdy by chciał, aby ubóstwo się zmniejszało. Trzeba jednak poczekać na wyniki badań, porównywalnych np. z wcześniejszymi danymi GUS.

Czy bieda jest zwiniona?

- Zygmunt Bauman pisał, że we współczesnej kulturze biedę postrzega się jako niebezpieczną. Dlatego kojarzy się z patologiami: przestępczością, narkotykami, alkoholizmem. Alkoholizm może być przyczyną biedy, ale równie dobrze może być skutkiem utraty pracy i braku środków do życia. Te zjawiska są często w skomplikowany sposób powiązane.

Osiem lat temu prowadziłam badania z rodzinami żyjącymi w trudnych warunkach. Obejmowały one trzy pokolenia: dziadków, rodziców i dzieci. Można było sięgnąć nawet do I wojny światowej i odtworzyć historię biedy w kręgu rodziny. Często byli biedni "od zawsze" - także w czasach PRL.

W tym roku wróciłam do kilku rodzin, żeby dowiedzieć się, co stało się z dziećmi. W sumie jest raczej optymistycznie - niektóre znalazły pracę. Większość pracuje na czarno, bo legalnej pracy w ich okolicy nie ma, część się uczy.

Bieda jest cykliczna, czyli pojawia się w pewnych fazach życia: w dzieciństwie, potem dotyka młode rodziny z małymi dziećmi, wreszcie ludzi starych i bezradnych. Wtedy pojawiają się klasyczne sposoby na przetrwanie: dolewana do mleka woda, kartofle i kapusta jako podstawa pożywienia. Kiedy dzieci podrosną, jest już zwykle lepiej, bo dorabiają od najmłodszych lat. W maju, kiedy zaczyna się zbiór ślimaków, klasy pustoszeją. W czasie wakacji pracują, zbierając zioła, grzyby, truskawki. Gdy dziecko jest już większe, to nie tylko przestaje być ciężarem, ale coś przynosi do domu.

Cały czas pokutuje u nas stereotyp biednego emeryta. W PRL emeryci rzeczywiście należeli do najbiedniejszych. Dziś jednak bieda nie wiąże się w Polsce ze starością i chorobą, ale z bezrobociem i wielodzietnością. Najbiedniejsze są rodziny, w których głowa rodziny ma 35-40 lat.

Czy różnie reagują na biedę mężczyźni i kobiety?

- Oczywiście. Kobieta nie ma wyjścia, musi nakarmić dzieci. Kiedy mąż traci pracę, najczęściej załamuje się. To naruszenie jego...

Męskości?

- Raczej roli głowy rodziny. Zwłaszcza w rodzinach tradycyjnych, gdzie to przede wszystkim mężczyzna powinien zarabiać. Niektórzy oczywiście szukają pracy, jeżdżą, dowiadują się, inni załamują się i piją. Jeszcze inni starają się robić coś w domu.

Mężczyzna nie musi nakarmić dzieci?

- On ma przynieść środki do życia. Kiedy ich nie ma, jego świat się rozpada. Kobieta staje się filarem rodziny. To nie jest tylko polska specyfika. W nędzy kobieta przejmuje większość ról domowych. Ona "zebrze" o pomoc. Klientami pomocy

społecznej są głównie kobiety.

Jeden z Pani respondentów - ojciec rodziny - mówi o propozycji pomocy ze strony księdza: "No to posłałem kobietę, bo żem się wstydził".

- Pamiętam tę rodzinę. To był bardzo dobry ojciec. Nie pił. No, może odrobinę. Jeździł do pracy na rowerze wiele kilometrów w deszczu i śniegu. Ale starania o pomoc to nie jest męska rola. Oczywiście, kobiety odczuwają je jako upokarzające. Bardzo dużo o tym mówią. Zwykle też to na ich głowie są domowe obowiązki. Bo to nie jest tak, że mąż, jak siedzi w domu, to gotuje. Zdarzają się i tacy, ale wyjątkowo. W najlepszym wypadku naprawi dach albo przekopie ogródek, bo to jest jego rola. A ubranie i wykarmienie rodziny to odpowiedzialność kobiety.

Czy są różne strategie przetrwania biedy? Czy np. wykształcenie zachowują się inaczej?

- Nie przypominam sobie badań dotyczących ludzi wykształconych. Do niedawna wykształcenie chroniło przed ubóstwem, chociaż dziś problem bezrobotnych absolwentów jest dramatyczny. Rodziny wykształconych mają zwykle większe zasoby - z czasów, kiedy powodziło im się lepiej. Odczuwają jednak także większe poczucie degradacji. Widać to dobrze w pamiętnikach bezrobotnych. Kobieta z wyższym wykształceniem, która nie może znaleźć pracy w małym miasteczku, cały czas słyszy: "Jak to, masz studia, a nie możesz znaleźć pracy? Co jest z tobą nie tak?". To potworny ciężar emocjonalny.

Dlaczego biedni często żyją ponad stan?

- Tu chodzi o utrzymanie poczucia własnej wartości - wobec dzieci, siebie, rodziny. To bardzo ważna potrzeba ludzka. Pamiętam przypadek - nie z moich badań - kobiety, która przyjechała do Warszawy zebrać na sukienkę do komunii dla córki.

Socjologowie rozróżniają aktywne i pasywne strategie radzenia sobie z biedą. Oszczędzanie - to pasywne. Aktywne - robię coś, szydełkuję, sprzedaję. Jak dobrze pójdzie, może z tego wyrosnąć własna firma. Ale zwykle to tylko strategia przetrwania - zrobiłam sweter na drutach, żeby kupić podręczniki dla dziecka.

Czy bieda skłania do przestępczości? Czy biedni myślą: społeczeństwo źle mnie potraktowało, więc mogę naruszyć reguły gry?

- Ludzie biedni, podobnie jak i niebiedni, mają różne systemy wartości. Przyzwolenia na kradzież zwykle nie ma, chociaż niektórzy uważają, że jak człowiek jest głodny, to ma prawo ukraść. Inni jednak mówią, że "nigdy cudzego nie wezmą". Szeroko akceptuje się np. przemyt. A w byłym PGR zetknęłam się z opinią, że jak brali ryby ze stawów - jeszcze państwowych - dla siebie, to było w porządku. Gdy na sprzedaż - to już złodziejstwo. Ale to nie jest związane z biedą, tylko z pewnym dziedzictwem społecznym i kulturowym PRL czy jeszcze wcześniejszych czasów. Istnieją oczywiście skupiska biedy, w których np. powstają gangi młodzieżowe, i tam przyzwolenie na łamanie prawa jest większe.

Nie ulega wątpliwości, że i bieda, i bogactwo zamykają się - bogaci robią z przestrzeni czynnik wykluczający. Ze starych, nieremontowanych domów i osiedli miejskich wyprowadzają się ci, których na to stać. Zostają biedni. Także z PGR-ów ludzie nie mogą się wyprowadzić, bo nie mają jak. Młodzi uciekają, starsi są przywiązani do miejsca.

Robiłam kiedyś badania w bloku zbudowanym tuż przed likwidacją PGR-ów. Ludzie zostali sami na odludziu, do którego dziś nie ma nawet jak dojechać. Są jeszcze za młodzi, żeby mieć emeryturę. Na razie mają jeszcze dość sił, żeby zajmować się np. zbiorami ziół, ale co będzie później?

Co możemy zrobić z biedą? Czy rozdawanie pieniędzy może ją zlikwidować?

- Pieniądzy "do rozdawania" jest bardzo mało. Trzeba interweniować w drastycznych sytuacjach, przede wszystkim w przypadku głodnych dzieci. To problem nawet w rodzinach, w których ojciec i matka pracują - tyle że każde ma po 800 zł, a dzieci jest ośmioro.

Trzeba działać z myślą o przyszłości - wyrównywać szanse dzieci z ubogich środowisk. Bardzo ważne są przedszkola. Kiedy dziecko z rodziny biednej - gdzie rodzice są niewykształceni i biegają za zarobkiem cały dzień - pójdzie do szkoły, nie odróżnia kółka od kwadracika i już na wejściu dostaje etykietkę głupszego. Ale przedszkola na wsi się likwiduje. Trzeba dawać stypendia i zapewniać dzieciom podręczniki. Kiedy dziecko nie ma słownika angielskiego, słyszy od nauczycielki: "Nie chciało ci się przynieść". Jednak dziecko się nie przyzna, że na słownik rodziny nie stać, bo się wstydzi.

Reforma edukacji przyniosła wiele pozytywnych zmian, zwłaszcza na wsi. Dzieci dojeżdżające do szkoły są jednak w gorszej sytuacji - nie mogą zostać na zajęcia dodatkowe czy wyrównawcze, bo autobus odjeżdża. Ich szanse zmniejszają także korepetycje, które stały się normalnym elementem systemu edukacji. Za moich czasów brali je ci, którzy mieli kłopoty z nauką. Dziś to sposób na uzupełnienie edukacji. A dziecko z biedniejszej rodziny nie ma do nich dostępu. Jeżeli publiczny system edukacji funkcjonuje w oparciu o korepetycje, to wspiera bogatszych i dyskryminuje biedniejszych.

Z moich badań wynika, że jeżeli młodzi ludzie z rodzin żyjących w trudnych warunkach uczą się w szkołach średnich, to daje to nadzieję całej rodzinie. Ci młodzi ludzie wyjeżdżają potem do Niemiec, zarabiają pieniądze, pracują i studiują zaocznie, pomagają sobie wzajemnie... Jaka jednak będzie przyszłość ich rodziców, którzy nie wypracują emerytur? Nie wiem. Nikt nie wie.

A czy bieda skłania do protestów?

- Często wymieniają odpowiedzialnych z imienia i nazwiska: "Kto zlikwidował PGR-y, to powinien wisieć". Od jednej starej kobiety usłyszałam nawet: "Już się wraca ta sanacja". Jednak protestują górnicy, którzy do najbiedniejszych nie należą.

PRL wspominają lepiej?

- Lepiej. Bo była praca. Ci 50-latkowie z PGR oczywiście nie są zdolni do każdej pracy - tylko do prostej, fizycznej. Dziś mówią, że chętnie by kopali ziemię czy przewalali rowy, byle tylko praca była.

A czy biedni chcą współpracować ze sobą?

- Solidarność wśród biednych to mit. Tłumaczyli mi w PGR-ach: wszyscy są biedni, ale nie wszyscy jednakowo. Zazdrości się sąsiadowi, że ma zasiłek. To środowiska zdeintegrowane. Niektórzy się w pewnym sensie przystosowali.

Nauczyli się grania z systemem - wykorzystywania zasilków i pomocy. Jakoś żyją.

Skoro nie wierzą w protest, to może w kapitalistyczny mit? Że mogą zmienić los, jeśli będą ciężko pracować?

- Ale nie ma pracy! We wszystkich wywiadach i pamiętnikach bezrobotnych pojawia się wołanie o pracę. Polacy - nie tylko biedni - uważają, że do sukcesu dochodzi się przez spryt i znajomości. Trzeba mieć znajomości, żeby cokolwiek załatwić - to bardzo silnie zakorzenione przekonanie. To reakcja na nieprzewidywalność warunków życia. Ustroje się zmieniają, a nieformalne, międzyludzkie kontakty pozostają.

Takie postawy ludzie przyjmują wówczas, kiedy w społeczeństwie jest bardzo duży deficyt jakichś zasobów - np. bardzo mało pracy. Wtedy tracimy zaufanie do systemu dystrybucji i próbujemy go obchodzić. Bezrobotni nie myślą, że wystarczy wysłać świetne CV, żeby dostać pracę w urzędzie, tylko że trzeba być kuzynem kierownika.

Kształtuje się mechanizm, który pewien amerykański antropolog opisał na podstawie północnych Włoch i nazwał "amoralnym familizmem" - inaczej oceniamy swoich, inaczej obcych. Swoim pozwalamy na więcej. To nie musi być tylko rodzina, ale cały łańcuszek znajomych. Oni są moją ostoją w nieprzewidywalnym świecie. W ramach tych kontaktów dochodzi do wymiany przysług, chociaż to nie klasyczny układ patron - klient. Młode pokolenie ma już trochę inne wzory - jedzie na Zachód, samo zdobywa pracę. Może oni coś zmienią.

Polska staje się coraz bogatsza, a biednych przybywa. Może bieda mało nas obchodzi?

- Na pytanie, dlaczego ludzie są biedni, odpowiedzi bywają dwojakie. Jedni uważają, że w ubóstwo spychają przede wszystkim okoliczności zewnętrzne i makrospołeczne: kryzysy, wojny, recesje, restrukturyzacja gospodarki. Drugi widzą źródło nieszczęścia w cechach ludzi - bo lenie, pijacy, niezaradni, nie chce im się pracować, nieodpowiedzialni. W obu sytuacjach bieda jest bardzo silnie oceniana moralnie.

To, którą z tych odpowiedzi wybieramy, zależy między innymi od miejsca w strukturze społecznej, wykształcenia i wieku. To wychodzi we wszystkich badaniach - im kto jest bogatszy, młodszy i lepiej wykształcony, tym częściej uważa, że biedni sami są odpowiedzialni za swoją biedę. Im ktoś jest niżej w strukturze społecznej, tym bardziej dostrzega źródło biedy w czynnikach niezależnych od człowieka. Tę samą różnicę widać w ocenianiu bogactwa.

Bogaty uważa, że zapracował na własny sukces, a biedny, że życie go skrzywdziło?

- To pewnie uproszczenie, ale jest taka prawidłowość. Na to nakłada się jeszcze wpływ wiary i tradycji. W społeczeństwach protestanckich ważna jest indywidualna odpowiedzialność - w tym także za powodzenie finansowe. W tradycyjnym, katolickim społeczeństwie - a w naszej kulturze obecność tradycji jest duża - awans był trudny, a role społeczne były już właściwie rozdane w momencie urodzenia człowieka.

Zarazem bieda była czymś pozytywnym. Biedny był pośrednikiem między Bogiem a ludźmi. Robiono analizy przysłów polskich - wychodzi z nich silna pochwała ubóstwa i nagana bogactwa. To się oczywiście zmieniło i nadal zmienia - ludzie wykształceni i młodszy, lepiej zarabiający, są skłonni pozytywnie oceniać bogactwo i sposób, w jaki się je zdobywa.

Każdy jest kowalem własnego losu, a biedny jest sam sobie winien. Czy tak myślący ludzie są w ogóle wrażliwi na biedę?

- Bieda nie zaczęła się w 1989 r. wraz z upadkiem PGR-ów i zamykaniem fabryk. Była zawsze. W PRL jednak nie wolno było o niej mówić. W dwudziestolecie międzywojennym, po I wojnie światowej i w czasach wielkiego kryzysu, bezrobocie i nędza były ogromne. O biedzie w PRL natomiast wiemy niewiele, badania były ograniczone, nie publikowano wyników, a zamiast słowa "ubóstwo" używano eufemizmów. Także skala zjawiska była dużo mniejsza. Dopiero od 1989 r. możemy mówić o biedzie bez cenzury. Czy tego słuchamy? Nie wiem. Na pewno wzruszamy się przy okazji wigilijnej świeczki Caritasu.

Może mam skrzywioną perspektywę, bo jako socjolog od wielu lat zajmuję się biedą, ale wydaje mi się, że jako społeczeństwo za mało o niej wiemy. We wrześniu wygłaszałam na konferencji referat na temat życia bez pracy, a bieda w Polsce jest bardzo silnie związana z bezrobociem. Cytowałam pamiętniki bezrobotnych i wywiady. To bardzo poruszające materiały. Jeden z kolegów powiedział w dyskusji, że uprawiam socjologię lamentującą. Wydaje mi się, że często wypieramy wiedzę o biedzie ze świadomości. Obserwuję karierę medialną, jaką zrobiła "Diagnoza", i zastanawiam się, czy to też nie świadczy o tym, że nie chcemy słuchać o biedzie. Każdy woli dobre wiadomości.

Słyszałam, jak specjaliści kwestionowali sposób zbierania danych przez GUS. Budziły one opór wtedy, kiedy mówiły o wysokiej stopie ubóstwa wśród dzieci. Zaś "Newsweek" pisze: "nikt jeszcze nie opisał dokładnie polskiej biedy". Opisał. Tylko się o tym nie mówi, bo chyba nikt nie czyta wyników naszych badań.

Jeżeli uczeń w szkole dowiaduje się o biedzie, czytając opis warszawskiego Powiśla z XIX w. w "Lalce" Prusa, to coś z edukacją jest nie w porządku. To kompletna abstrakcja. Ubogie dziecko nie może tego w żaden sposób odnieść do własnego doświadczenia. W efekcie postrzega je jako piętnujące i się go wstydzi.

*Prof. dr hab. Elżbieta Tarkowska - socjolog w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, redaktor naczelna kwartalnika "Kultura i Społeczeństwo". Od dziesięciu lat zajmuje się badaniem ubóstwa

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - <http://wyborcza.pl/0,0.html> © Agora SA

Biedę zwalczać, nie wyolbrzymiać - polemizuje Janusz Majcherek



Janusz A. Majcherek* 2006-01-04, ostatnia aktualizacja 2006-01-04 14:42:51.0

Gdy patrzy się na niektóre wskaźniki, okazuje się, że zakres ubóstwa - także w Polsce - jest tym większy, im szybszy wzrost bogactwa, bo przybywa tych, którzy za tempem rozwoju nie nadążają. Zamiast uciekać do takich arbitralnych definicji, lepiej przyjrzeć się najprostszemu faktom: od ponad dziesięciu lat przybywa w Polsce wytworzonych dóbr przy niezmienniej liczbie ludności - z prof. Elżbietą Tarkowską polemizuje

Pewne zjawiska społeczne przedstawia się jako znaczące wcale nie tam, gdzie występują najczęściej, lecz tam, gdzie wielu badaczy poświęca im swoją uwagę. To z tego powodu liczni obrońcy praw człowieka jako główne miejsce ich naruszania wskazują Stany Zjednoczone, a radykalne feministki najsilniej walczą z dyskryminacją w Szwecji. Gender studies rozwijają się najprężniej w krajach o najbardziej wyrównanym i najszybciej wyrównującym się statusie płci, walka klasowa w Związku Sowieckim zaostrzała się w miarę postępów socjalizmu, a potrzeba rozliczeń z komunizmem w III RP rośnie wraz z postęпами demokracji. Podobne prawidłowości ujawniły się w rozmowie z profesorem Elżbietą Tarkowską na temat polskiej biedy („O biednych nikt nie chce słuchać”, „Gazeta Świąteczna” 31 grudnia - 1 stycznia).

Wprowadzeniem do nich jest teza, że w Polsce "po 1989 r. wskaźniki ubóstwa stopniowo rosną". Jest to opinia obrażająca rozum nie mniej dotkliwie, jak poglądy o pogarszaniu się warunków życia w USA (upowszechniane np. przez amerykańskiego ekonomistę Jeremego Rifkina) lub narastaniu dyskryminacji kobiet w Szwecji (jak twierdzą np. Gudrun Schyman, Iren Wachenfeldt i inne feministki opisane przez Katarzynę Tubylewicz w "Gazecie" z 16 czerwca 2005). Z mitem narastania ubóstwa w Polsce rozprawił się Waldemar Kuczyński w "Tygodniku Powszechnym" ("Czy Polska zbiedniała?", 11 września 2005) na podstawie licznych danych statystycznych.

Wskaźniki wątpliwej jakości

Problem wynika po części z absurdalnych formuł definicyjnych, które pozwalają prof. Tarkowskiej stwierdzić, że ponad połowa Polaków żyje poniżej "minimum socjalnego", a co piąty poniżej granicy ubóstwa. Tymczasem z danych UNICEF wynika, że w Polsce jest mniej dzieci żyjących w ubóstwie (12,7 proc.) niż w Hiszpanii (13,3), Wlk. Brytanii (15,4) i Włoszech (16,6 proc. - podaję za "Rzeczpospolitą" z 8 września 2005). Ubóstwo oczywiście zostało zdefiniowane w obu przypadkach relatywnie, ale dane te pokazują istnienie w innych krajach większego niż w Polsce rozwarstwienia, co przeczy rozpowszechnionemu przekonaniu, że bije ono u nas wszelkie rekordy.

Przy pewnym sposobie definiowania wskaźników zakres ubóstwa jest tym większy, im szybszy wzrost społecznego bogactwa, bo przybywa tych, którzy za tempem rozwoju nie nadążają. To dzięki takim absurdalnym formułkom definicyjnym podczas wielkiej powodzi Nowego Orleanu powtarzano z lubością, że już przed tą klęską ponad jedna czwarta jego mieszkańców żyła w ubóstwie, co świetnie wpływało na nastrój wszystkich ideologicznych wrogów Ameryki.

Zamiast wątpliwych i arbitralnych definicji odwołajmy się do najprostszych faktów: w Polsce od lat (dokładnie od 1992 r.) nieprzerwanie przybywa wytworzonych dóbr przy nierosnącej (nad czym wielu ubolewa) liczbie ludności. A wielu spośród tych dóbr nie można konsumować po kilka sztuk naraz.

Przykłady: od 1989 r. liczba mieszkań wzrosła o co najmniej 1,5 mln. "Co najmniej", bo Polacy wielu wybudowanych lokali nie zgłaszają, aby uniknąć płacenia podatku od nieruchomości. Gdyby nawet budowano w tym okresie wyłącznie luksusowe wille i apartamenty dla bogaczy (co jest wszak nieprawdą), to ich nabywcy nie mieszkają przecież równocześnie w nich i innych domach. Z tych drugich ktoś zatem korzysta, co oznacza spadek liczby tych, którzy nie mają gdzie mieszkać. No chyba że przyjmijmy istnienie w Polsce co najmniej 1,5 mln pustostanów.

W ciągu dwóch ostatnich lat sprowadzono do Polski (nad czym wielu ubolewa) ponad 1,5 mln używanych samochodów, które na pewno nie trafiły do ludzi majątnych, bo ci kupowali sobie nowe. Powiększyły one zatem zasoby motoryzacyjne uboższych Polaków. O ile w 1989 r. prywatny samochód posiadała nieco ponad jedna trzecia gospodarstw domowych, to obecnie ponad połowa z nich. Nawet jeśli są to auta używane, to i tak lepsze od zużytych polonezów i maluchów, które zostały przez nie zastąpione, zatem ich właściciele trudno uznać za zubożałych.

Biedni tylko na papierze

Prof. Tarkowska twierdzi, że "nawet w ostatnich latach biednych przybyło". Zatem przybyło biedaków dysponujących mieszkaniem i samochodami. No i, oczywiście, telefonami komórkowymi. A stwierdzenie, że najgorsza jest sytuacja rodzin wielodzietnych, klóci się akurat z danymi GUS wskazującymi, że odsetek gospodarstw domowych zagrożonych ubóstwem relatywnym i żyjących poniżej minimum egzystencji zmalał między 2003 a 2004 r. właśnie w grupie rodzin z czworgiem i więcej dzieci na utrzymaniu. Choć ich sytuacja jest najgorsza, to się poprawia - nawet mierzona tymi wątpliwymi wskaźnikami.

Można wprawdzie argumentować, że są tacy, którym brakuje nawet na wyżywienie. Lecz w 2004 r. (danych za ubiegły rok jeszcze nie ma) Polacy kupili ponad 20 proc. więcej żywności niż rok wcześniej (liczone w cenach bieżących). Czyżby wszystko skonsumowali bogaci? Warto też dodać, że udział wydatków na jedzenie w budżetach domowych Polaków spadł z 50 proc. w 1989 r. do niecałych 30 proc. obecnie. Zinterpretowanie tych danych jako świadczących o powiększaniu się rozmiarów ubóstwa wymagałoby jakiejś karkołomnej intelektualnej ekwilibrystyki.

Ze wskaźnikami żywieniowymi trzeba szczególnie uważać. Z tego, że Polacy jedzą mniej mięsa i pieczywa, nie wynika, że zbiednieli, lecz przeciwnie. Podobnie spadek spożycia masła, a wzrost konsumpcji margaryny niekoniecznie jest oznaką ubożenia, lecz dbałości o zdrowie. Pewna gazeta (nie chodzi o "Wyborczą"), podając wyniki porównawczych badań konsumpcji w Unii Europejskiej, zinterpretowała je w ten sposób, że Słowacy są bardziej rozrzućni w zakupach żywności, bo proporcjonalnie więcej na nią wydają, choć wiadomo, że wyższy odsetek wydatków na żywność jest wskaźnikiem biedy, a nie bogactwa. W Polsce zaś odsetek rodzin deklarujących pełne zaspokojenie swoich potrzeb żywieniowych w ostatnich latach wzrósł. Obecnie tylko mniej niż 5 proc. deklaruje, że nie starcza im nawet na najtańsze jedzenie.

Pani prof. Tarkowska zajmuje się ubóstwem naukowo. Jak każdy uczony uważa przedmiot swoich badań za ważny i społecznie doniosły. Ma prawo apelować o wzrost zainteresowania nim, jednak nie przez wyolbrzymianie jego rozmiarów.

*Janusz A. Majcherek - publicysta "Rzeczpospolitej" i "Tygodnika Powszechnego"

Tekst pochodzi z portalu Gazeta.pl - www.gazeta.pl © Agora SA

Nie wyolbrzymiam problemu biedy - odpowiada prof. Elżbieta Tarkowska



prof. Elżbieta Tarkowska* 2006-01-04, ostatnia aktualizacja 2006-01-05 00:00

Niesłusznie kwestionuje się w Polsce dane pokazujące rozmiary ubóstwa. Tak robi też Janusz A. Majcherek.

W wtorek "Gazeta" opublikowała krytyczny komentarz Janusza Majchereka - "Biedę trzeba zwalczać, a nie wyolbrzymiać jej rozmiary" - do udzielonego przeze mnie wywiadu ("Gazeta Świąteczna" z 31 grudnia 2005 r.). Moją wypowiedź - "po 1989 r. wskaźniki ubóstwa stopniowo rosną" Majcherek nazwał "opinią obrażającą rozum". Otóż "rozum" nie powinien się obrażać, tylko przeczytać i porównać kilka danych, które można znaleźć w internecie na stronie GUS i w Narodowej Strategii Integracji Społecznej dla Polski.

Zmieniająca się stopa skrajnego ubóstwa, czyli odsetek żyjących poniżej minimum egzystencji, była w ostatnim dziesięcioleciu następująca: • 1994 - 6,4 proc., • 1996 - 4,3 proc. (w wywiadzie wspomniałam o odwróceniu się trendu w połowie lat 90.), • 1997 - 5,4 proc., • 1998 - 5,6 proc., • 1999 - 6,9 proc., • 2000 - 8,1 proc., • 2001 - 9,5 proc., • 2002 - 11,1 proc., • 2003 - 10,9 proc., • 2004 - 11,8 proc. Wyników GUS dla 2005 r. jeszcze nie znamy, a wyniki „Diagnozy społecznej” są z dotychczasowymi danymi nieporównywalne. Jeśli jednak to nie jest wzrost, to co?

Dla Janusza Majchereka zacytowane przeze mnie w wywiadzie określenia ubóstwa to "absurdalne formuły definicyjne, które pozwalają prof. Tarkowskiej stwierdzić, że ponad połowa Polaków żyje poniżej minimum socjalnego, a co piąty poniżej granicy ubóstwa". Wspomniane przeze mnie w wywiadzie miary ubóstwa (minimum egzystencji, ubóstwo relatywne i ustawowe, a także minimum socjalne rozumiane jako miara zagrożenia ubóstwem) nie są moim osobistym wkładem do nauki, lecz miarami stosowanymi od wielu lat przez Główny Urząd Statystyczny i Instytut Pracy i Spraw Socjalnych. Podobnie cytowane przeze mnie dane to wyniki badań nie moich, lecz GUS-u. Zdumiewające, że wypowiadający się na temat ubóstwa publicysta o tym nie wie. Ciekawe zresztą byłoby się dowiedzieć, które miary ubóstwa zdaniem Janusza Majchereka nie są arbitralne? Które nie są "absurdalne ani wątpliwe"?

Jest w tekście Majchereka więcej podobnych świadectw niewiedzy, a niestety także złej woli (o języku już nie wspomnę). Dlaczego na przykład stwierdzenie, że "najgorsza jest sytuacja rodzin wielodzietnych" miałoby się kłócić z danymi wskazującymi na malejący odsetek żyjących w biedzie rodzin wielodzietnych? Choć jest ich mniej, to nadal są w najtrudniejszej sytuacji.

Polski biedny może - co nie mieści się w głowie Januszowi Majcherkowi - posiadać samochód. Osiem lat temu mógł mieć kilkunastoletniego małego fiata, którego kupił za 500 złotych i ciągle naprawiał, a korzystał z niego nie tylko on, ale i dojeżdżający wspólnie do pracy sąsiedzi. Dziś polski biedny może mieć np. ładę samarę, która służy do transportu złomu (to przykład pochodzący z moich badań). Zbieranie i handel złomem często są podstawą bytu rodziny.

Tekst Janusza Majchereka potwierdza to, o czym mówiłam w wywiadzie: marginalizację problemu ubóstwa. Wskaźniki GUS-owskie są dobre, gdy mówią o wzroście liczby mieszkań czy samochodów, kwestionowane natomiast jako "wątpliwe i arbitralne", gdy pokazują biedę. Wskaźniki UNICEF też są dobre, bo pokazują, że stopa ubóstwa dzieci jest w Polsce mniejsza niż w bogatej Wielkiej Brytanii. Proponuję jednak zajrzeć do - zapewne według Pana Redaktora "wątpliwych i arbitralnych" - analiz i badań prof. Wiesławy Warzywody-Kruszyńskiej i jej zespołu pokazujących w oparciu o dane GUS-u zupełnie inną skalę ubóstwa dzieci w Polsce: w 2001 r. takich dzieci było prawie 30 proc. Może też warto poznać skalę dożywiania dzieci w Polsce, nie tylko liczbę nowych mieszkań i samochodów?

Nauka - w przeciwieństwie do mediów - nie musi się zajmować tym co duże, głośnie i sensacyjne. Bada także to co niewidoczne, ukryte, pozbawione możliwości wypowiedzi - jak bieda i biedni w świecie sukcesu i konsumpcji. Zarzut Pana Redaktora, że "wyolbrzymiam" problem biedy z niskich, prywatnych pobudek, jest nie tylko niegodziwy, ale i nietrafny.

* Prof. dr hab. Elżbieta Tarkowska - socjolog w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, redaktor naczelna kwartalnika "Kultura i Społeczeństwo". Od dziesięciu lat zajmuje się badaniem ubóstwa

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - <http://wyborcza.pl/0,0.html> © Agora SA

Bieda naprawdę istnieje - odpowiada Adam Leszczyński



Adam Leszczyński 2006-01-03, ostatnia aktualizacja 2006-01-03 00:00

Ubóstwo nie zniknie tylko dlatego, że w Polsce z roku na rok przybywa samochodów, domów i telefonów komórkowych. To naiwne i niebezpieczne złudzenie

Polemika

Wszystko jest jasne dla Janusza A. Majchereka: ubóstwo w Polsce to tylko oznaka gospodarczego rozwoju ("Biedę trzeba zwalczać, a nie wyolbrzymiać jej rozmiary", "Gazeta" z 3 stycznia). Po prostu jedni Polacy bogacą się szybciej niż inni, więc tym biedniejszym wydaje się, że tracą. To złudzenie, bo naprawdę wszyscy mamy się świetnie (i będzie coraz lepiej). Poziom ubóstwa lokuje nas między Hiszpanią i Wielką Brytanią.

Dlatego mówienie o polskiej biedzie Majchereka irytuje. I nic dziwnego, bo psuje mu naiwny optymizm godny wolteriańskiego Panglossa. Dla Woltera Pangloss był uosobieniem przekonania, że żyjemy na najlepszym z możliwych światów. Skoro świat lepiej zorganizowany być nie może, to każde nieszczęście jest konieczne, a więc naprawdę nie jest nieszczęściem. W powiastce Woltera życie przeczyło doktorowi Panglossowi okrutnie, ale on i tak nie tracił optymizmu.

W taki właśnie naiwny sposób Majcherek wierzy, że kapitalizm gwarantuje powszechny dobrobyt (nawet kapitalizm według niego niedoskonały, czyli polski). Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - nierówności społeczne są pozorne, a nawet jeśli nie są, to stanowią tylko uboczny produkt rozwoju. To przekonanie pozwala mu kwestionować dorobek uczonej, prof. Elżbiety Tarkowskiej, która od wielu lat zajmuje się badaniem polskiej biedy ("O biednych nikt nie chce słuchać", "Gazeta" z 31 grudnia).

Majcherek używa bałamutnych argumentów i powtarza je z uporem godnym Panglossa - warto przyjrzeć się im bliżej.

Dobrobyt w komórce

Polacy mają więcej samochodów i telefonów komórkowych niż w 1989 r. - pisze Majcherek. W 1989 r. jednak nie tylko Polacy, ale też Niemcy i Francuzi mieli mniej samochodów. W ogromnej większości krajów świata było mniej samochodów. Telefonów komórkowych nie było w ogóle. Postęp technologiczny dokonuje się wszędzie, nawet na Kubie i w Korei Północnej, co niekoniecznie przekłada się na bardziej dostatnie życie. Kiedy osiem lat temu pojechałem pierwszy raz jako reporter do kenijskich slumsów, nikt nie miał tam telefonu komórkowego. Dwa lata temu było już ich sporo. Być może było też więcej samochodów i anten satelitarnych - nie liczyłem. Mieszkańcy nadal żyli jednak bez wody, prądu, dostępu do szkół i opieki lekarskiej, ich realne pieniądze dochody spadły, a czynsze (bo w slumsach płaci się nawet za domek z tektury) wzrosły. Pytanie do Majchereka: kiedy żyli lepiej? Na co telefon komórkowy komuś, kto nie ma co jeść i nie ma jak na jedzenie zarobić?

Nie porównuję nędzy polskiej i afrykańskiej. Pokazuję, jak bardzo nieuczciwe jest pisanie, że Polacy w 1989 r. żyli gorzej, bo jeździli polonezami, a dziś nawet niektórych bezrobotnych stać na telefon komórkowy i dziesięcioletniego opła z Niemiec. Cały świat się zmienił, więc Polska zmieniła się również. Nikt rozsądny też nie sugeruje, że PRL była krajem mlekkiem i miodem płynącym. Dostęp do różnych społecznych dóbr - od pracy po lekarza, bibliotekę i przedszkole - jest co najmniej równie ważny. Majcherek woli liczyć samochody i lodówki. To jednak tylko jeden z wielu wyznaczników poziomu życia - ważny, ale niejedyny.

Urok statystyk

Z liczb Majcherek lubi jednak tylko te, które potwierdzają jego przekonania. Cytuje statystyki, z których wynika, że odsetek dzieci żyjących w ubóstwie w Polsce (12 proc.) jest niższy niż w Wielkiej Brytanii czy Hiszpanii. Dodam za niego, że we wszystkich tych krajach jest także niższy niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie według danych rządowych w 2003 r. w biedzie żyło 17,6 proc. dzieci, a ich liczba od kilku lat stale rośnie. Czy to znaczy, że Polska jest krajem bogatszym niż Ameryka? Majcherek świetnie wie, że porównywanie tych statystyk jest bez sensu, ale i tak to robi. Za to kilka różnych kryteriów ubóstwa podawanych przez jedną z najwybitniejszych w Polsce specjalistek w tej dziedzinie - według których w biedzie żyje od 12 do 20 proc. Polaków - uznaje za "absurdalne formułki definicyjne".

Wyniki "Diagnozy społecznej 2005" prof. Tarkowska uznała za nazbyt optymistyczne. Nawet one mówią jednak jasno, że nie wszystko idzie świetnie. Socjologowie prosili, aby ocenić swoje dochody w skali od 1 do 9 (gdzie 1 oznacza "starcza na wszystko i jeszcze oszczędzamy na przyszłość" a 9 - "pieniędzy nie starcza nawet na najtańsze jedzenie"). Przez ostatnie dwa lata w odpowiedziach na to pytanie zaszło znaczące przesunięcie. To prawda, w porównaniu z 2003 r. dużo więcej Polaków wybrało odpowiedź nr 3 ("żyjemy oszczędnie i starcza na wszystko"). Równocześnie liczba tych, którzy oceniają swoją sytuację źle i bardzo źle (odpowiedzi 8 i 9) nieco wzrosła. W sumie ponad 12 proc. Polaków oceniło, że "pieniędzy starcza tylko na najtańsze jedzenie, ale nie starcza na ubranie" oraz "pieniędzy nie starcza ani na jedzenie, ani na ubranie". To właśnie o te 12 proc. - podklasę pozostawioną na uboczu przez modernizującą się Polskę - tutaj chodzi. Majcherek uważa, że mówienie o nich to wyolbrzymianie problemu biedy. To ile wolno o nich mówić i pisać, żeby go nie wyolbrzymiać? Może najlepiej nie mówić nic?

Zarzut Woltera wobec optymizmu Panglossa polegał na tym, że naprawdę sprowadzał się do bezkrytycznej zgody na całe społeczne zło tego świata. To właśnie proponuje nam Majcherek. Uznanie, że wszystko i tak idzie w dobrą stronę, a poprawa losu najbiedniejszych to tylko kwestia czasu, rozgrzesza nas wszystkich - i Majchereka, i niżej podpisanego - z obojętności. Lepiej przecież i tak być nie może, prawda? Bilans Polski po 1989 r. jest jednak złożony i bardziej służy mu krytyczna diagnoza niż naiwna propaganda sukcesu. Nędza należy do niego również - i nie ma co gniewać się na socjologa, że o niej pisze.

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - <http://wyborcza.pl/0,0.html> © Agora SA

Bieda się utrwała

A | r | c | h | i | w | u | m

[podpis] IRENA TOPIŃSKA *

Gazeta Wyborcza nr 14, wydanie z dnia 17/01/2006OPINIE, str. 20

POLEMIKA

Kto chce pokazać, że ubóstwo jest duże, znajdzie odpowiednie liczby. Kto chce dowieść, że jest tylko umiarkowane, też nie będzie miał kłopotów z danymi potwierdzającymi tę tezę. Przy okazji zdarza się dobierać liczby "pod założoną tezę", a także po prostu sięgać po błędne. W ostatnim tekście Janusza A. Majcherka takich błędów jest sporo

Oceny rozmiarów biedy w Polsce budzą kontrowersje, o czym świadczy dyskusja, jaką zapoczątkował na łamach "Gazety" wywiad Adama Leszczyńskiego z prof. Elżbietą Tarkowską ("O biednych nikt nie chce słuchać", "Gazeta" z 31 grudnia 2005). Zwiększa się ubóstwo czy maleje?

Wydaje się, że opinie w tej ważnej kwestii powinny być zgodne, tak jak zgodne są opinie na temat wzrostu gospodarczego czy inflacji. Są przecież dane Głównego Urzędu Statystycznego, analizy Eurostatu i niezależnych ośrodków badawczych, doświadczenia instytucji rządowych i organizacji pozarządowych. A jednak pełnej zgodności ocen nie ma. Przyczyny tego stanu rzeczy są dwojakie.

Po pierwsze, nie ma w pełni dopracowanych i powszechnie akceptowanych metod pomiaru ubóstwa. Nie ma więc "twardych" statystyk ubóstwa, podobnych do statystyk inflacji czy PKB. W samych materiałach GUS znaleźć można kilka wskaźników, które dają bardzo różne szacunki rozmiarów ubóstwa, a jeśli sięgnąć po publikacje organizacji międzynarodowych (Bank Światowy, UNDP, Unia Europejska), to można takich różnorodnych szacunków znaleźć jeszcze więcej.

Nie jest to jednak kompletny chaos liczbowy. Wiadomo, co poszczególne wskaźniki znaczą i jak je stosować, tyle że nie ma tego jedynego wskaźnika, którego podważyć nie sposób.

Po drugie, oceny ubóstwa często traktuje się instrumentalnie, a dyskusje na ten temat bywają bardzo emocjonalne. Kto chce pokazać, że ubóstwo jest duże, znajdzie odpowiednie liczby. Kto chce znaleźć statystyki świadczące o ubóstwie umiarkowanym, też nie będzie miał kłopotów z danymi potwierdzającymi tę tezę.

Co do wzrostu bądź spadku ubóstwa sprawa jest nieco trudniejsza. I tu jednak można podeprzeć się autorytetem danych statystycznych, które wskazują albo "wzrost", albo "spadek". Przy okazji zdarza się nie tylko dobierać dane "pod założoną tezę", ale także w zapale dyskusji sięgać po informacje nieadekwatne albo po prostu błędne. W ostatnim tekście Janusza A. Majcherka ("Naukowa bieda z polską biedą", "Gazeta" z 10 stycznia br.) takich błędów jest sporo.

Idźmy po kolei. Majcherek ostro - i słusznie - krytykuje odwoływanie się do minimum socjalnego przy ocenach ubóstwa. Zaczyna przy tym od przytoczenia danych GUS na temat odsetka osób żyjących poniżej minimum w 1989 r. i "obecnie". Zapomina jednak dodać, że obecnie takich danych GUS już nie publikuje. Zaprzestał tego właśnie z powodu krytyki, z jaką ten wskaźnik się spotykał. Zapomina też dodać, że porównywanie gusowskich wskaźników ubóstwa obliczonych dla 1989 r. i szacowanych obecnie jest bardzo wątpliwe, choćby z powodów różnic metodologicznych (choć nie tylko). Takich zestawień robić się nie powinno i nie ma ich w rzetelnych opracowaniach dotyczących ubóstwa w Polsce.

Dalej czytamy krytykę postępowania prof. Tarkowskiej, która - jak pisze Majcherek - "takimi właśnie narzędziami badawczymi się posługuje". Trzeba naprawdę złej woli, by tak twierdzić. A może jest to po prostu jakieś przeoczenie?

Prof. Tarkowska na poparcie swych tez powołuje się na dane, które pokazują, jaki odsetek Polaków żyje poniżej minimum egzystencji, a to jest przecież czymś całkiem innym niż minimum socjalne. Tej różnicy jednak Majcherek w ogóle nie zauważa.

Zauważa natomiast i krytykuje wskaźniki ubóstwa relatywnego, które uznaje za absurdalne. Przyłączam się do tej krytyki, choć podejście relatywne nie jest bynajmniej całkowicie absurdalne. Pewne argumenty na rzecz takiego podejścia przekonują badaczy, statystyków i polityków w Unii Europejskiej do jego stosowania. Chodzi m.in. o to, by automatycznie zmieniać granicę ubóstwa w warunkach wzrostu gospodarczego i by ominąć trudność, jaką stwarza ocena ubóstwa tzw. absolutnego w krajach najwyżej rozwiniętych.

Posługiwanie się ubóstwem relatywnym jest natomiast nieprawomocne, gdy porównuje się kraje o wyraźnie różnym poziomie rozwoju.

Faktycznie, zestawianie ubóstwa relatywnego w Stanach Zjednoczonych i na Kubie (przykład Janusza A. Majcherka)

może prowadzić do wniosków absurdalnych. Tyle że po prostu takich zestawień robić się nie powinno.

Ostatnia sprawa to powoływanie się na wskaźnik ubóstwa subiektywnego, tzw. wskaźnik lejdejski. Nie jest on po prostu "samooceną własnego poziomu życia", jak pisze Majcherek. Odwołuje się raczej do tego, jaki poziom dochodu ludzie uznają za niewystarczający - a to przecież nie to samo. Poza tym nieprawdą jest, że wskaźnik lejdejski "od 1989 r. stale spada". Nie jestem pewna, czy był on w ogóle liczony dla roku 1989. Dostępne dane GUS o ubóstwie subiektywnym dla lat 1993-2003 pokazują, że były okresy spadku, stabilizacji, a także wzrostu ubóstwa.

Badacze sięgają po wskaźnik ubóstwa subiektywnego z dużą ostrożnością. Wykazuje on bowiem trudno wytłumaczalne wahania, a często pozostaje w sprzeczności z innymi danymi pokazującymi zmiany poziomu życia i ubóstwa (poziom płac, bezrobocie, dane demograficzne itp.).

Majcherek kończy swój tekst stwierdzeniem, iż "część badaczy wmawia" nam, że ubogich jest coraz więcej. Nie wiem, jaka część badaczy tak właśnie twierdzi. Dane GUS porównujące rok 2003 i 2004 pozwalają raczej mówić o wzroście "w granicach błędu statystycznego" w przypadku ubóstwa uwzględniającego minimum egzystencji i o bardzo niewielkim wzroście przy uwzględnieniu progu ustawowego; jeśli zaś chodzi o ubóstwo relatywne - mamy stabilizację.

Czy taki obraz wydaje się sensowny? Dane na temat zmian dochodów, konsumpcji, bezrobocia i zróżnicowania materialnego nie są z nim sprzeczne.

Badacze, choć pewnie nie wszyscy, są natomiast naprawdę zaniepokojeni utrwalaniem się ubóstwa - i tu właśnie widzą największe zagrożenie. Ja także do tej grupy należę.

IRENA TOPIŃSKA *

** dr Irena Topińska*

- pracownik Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego i Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych (CASE)

IRENA TOPIŃSKA *

RP-DGW

Tekst pochodzi z Internetowego Archiwum Gazety Wyborczej. Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie i rozpowszechnianie w jakiegokolwiek formie bez odrębnej zgody Wydawcy zabronione.

Archiwum GW 1998,2002,2004